

GAŁKI Z HONOREM

Mieszkaliśmy w pokoju u mojej matki chrzestnej. Urodziło nam się dziecko. Nie było ciepłej wody, ogrzewania. Mąż powtarzał: Nie martw się, jeszcze będziemy mieszkali we dworze

Z Małgorzatą Gujską, właścicielką dworu w Galkach, rozmawia Alina Mrowińska, TVP



Małgorzata Gujska jest radcą prawnym. Mąż Waldemar - adwokatem. Wspólnie odrestaurowali dwór w Galkach położony na granicy Mazowsza i Podlasia (na stronie obok). Mają córkę Olę, syna Jędrzeja, wnuki Fryderyka i Brunona. Na stronie obok: morris z '34 roku, który przez kilkadziesiąt lat stał w stodole poprzedniego właściciela i nadal jeździ. Fragment majątku Gałki

Jak wyglądał dwór w Galkach, kiedy pierwszy raz pani tam weszła?

Z zewnątrz prawie nie było go widać, tak był zarośnięty drzewami. A zanim jeszcze weszłam, wytoczyło się dwóch pijanych mężczyzn i wybiegła koza. W środku okna zabite dechami, grzyb od podłogi po sufit, w sieni porozrzucane węgiel i drewno.

W dawnym salonie parowane były ziemniaki dla świń. Wszystkie kominy były zapchane i wszędzie unosił się przygnębiający smród. Po wojnie dwór został przejęty przez PGR i z każdym rokiem coraz bardziej popadał w ruinę. Myślałam: „Co ja tu robię, to czyste wariactwo”. A jednocześnie coś mi podpowiadało, że to jest nasz kąt na ziemi.

We dworze ktoś mieszkał?

Dwie rodziny pracowników Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej. Rozstaliśmy się w zgodzie. Postawiliśmy im drewniane domki, zatrudniliśmy syna jednej z kobiet. Gałki nie miały żadnych roszczeń reprivatyzacyjnych. Ostatni właściciel w latach 30. popadł w długi i dwór wraz z folwarkiem przejął bank.

Ile lat trwał remont?

Sześć. Zaczęło się od wywożenia śmieci. 150 worków, każdy po 240 litrów! Kiedy pierwszy raz weszłam na poddasze, wydawało mi się bardzo niskie. Dopiero po chwili zobaczyłam, że stoję na górze śmieci. Czego tam nie było! Stare szmaty, spróchniałe deski, zniszczone telewizory, lodówki, zlewy, naczynia kuchenne, kawałki pieców...

Architekt sugerował nam, żeby zachować XIX-wieczną elewację, a wewnątrz zrobić nowoczesne. Nam jednak zależało na jak najwierniejszym odtworzeniu dawnej posiadłości. To ostatnie dzieło Bolesława Podczaszyńskiego, najwybitniejszego polskiego architekta XIX wieku, jego dziadek był nadwornym architektem Radziwiłłów.

Kupowaliśmy stare stodoły, obory, spichrze, żeby wszystkie drzwi i podłogi były ze starego drewna. Pan z tartaku przyjeżdżał do nas z wielką maszyną, mieliśmy ogromną frajdę z obserwowania tego, jak pracuje. Od maja do października cały czas chodził na bosaka, mówił nam, że dlatego na nic nie choruje.

Kiedy zostały zbite tynki, odsłonił się dawny układ pomieszczeń. Czuliśmy intuicyjnie, gdzie znajdowały się poszczególne pokoje.

Gdzieś wyczytałam, że dwory budowano w taki sposób, żeby zawsze w ciągu dnia w każdym z pomieszczeń chociaż przez chwilę świeciło słońce.

Zachowały się zdjęcia dawnego dworu?

Niestety nie. Z przedwojennego wyposażenia udało nam się odnaleźć jedynie etażerkę i biedermeierowski sekretarzyk. W jego szufladzie są jeszcze stemple komornika i napis „majątek Gałki”. Gdy to zobaczyłam, czułam się jak odkrywca bieguna północnego. Chodziliśmy z mężem po okolicznych wsiach, pytaliśmy ludzi, czy coś się nie zachowało. Ten



sekretarzyk znaleźliśmy u naszego sąsiada. Ponoć zachował się jeszcze instrument klawiszowy, ale nie udało nam się go zlokalizować. Opowiadano nam, że po wojnie meble zostały z dworu wyrzucone i każdy brał, co chciał. Ludzie rąbali drzwi, bo były do ich mieszkań za duże. A dyrektor PGR-u kazał wyciąć całą aleję kilkudziesięciu dwustuletnich drzew.

Bardzo nam zależało na wyposażeniu z epoki. Staliśmy się stałymi bywalcami wszystkich targów staroci, klientami sklepów z antykami. Zaprzyjaźnieni antykwariusze zawsze dzwonią, jeżeli trafi im się coś ciekawego. Od lat wszystkie wakacje spędzamy w rejonach, gdzie jest dużo antykwariatów.

W Grosseto w Toskanii udało nam się znaleźć stary wenecki żyrandol z żelaza. W Genui za niewielkie pieniądze kupiliśmy przepiękną porcelanę i art déco'owską patere.

Na Śląsku znaleźliśmy drzwi, które zostały wstawione na parterze dworu między salonem a jadalnią. Miały być secesją wiedeńską, a okazały się polską. Są opatrzone nazwiskiem majstra, który je wykonał. W Liwii, w stodole, znaleźliśmy secesyjny kredens z zielono-niebieskimi szybkami. W składzie rupieci w Sieradzu stało lustro, ponadtrzymetrowe, pomalowane białą olejną farbą. Po renowacji okazało się, że pod warstwą farby kryje się niezwykła, misterna rama ze złotymi płatkami.

Każdy przedmiot jest dla mnie prawie jak członek rodziny, patrzę na niego z miłością. **Dlaczego chciała pani zamieszkać we dworze?**

Nigdy by mi to nie przyszło do głowy! Odkąd pamiętam, mąż o tym marzył. Zawsze był miłośnikiem historii i antyków.

Po ślubie zamieszkaliśmy u mojej chrzestnej matki w kamienicy na warszawskiej Pradze. Odstąpiła nam jeden pokój. Wkrótce urodziła się Ola. Nie było ciepłej wody, rano trzeba było przynieść węgiel z piwnicy i napalić w piecu. Gotowałam na małym piecyku w małym korytarzu. Mąż często powtarzał: „Nie martw się, doczekamy lepszych czasów, jeszcze będziemy mieszkali we dworze”.

Wtedy prawie na nic nie było nas stać, pieniądze kończyły się w połowie miesiąca. Mąż robił aplikację i pracował w sądzie, a ja w przedsiębiorstwie handlowym jako referentka prawna. Przygotowywałam się do egzaminu na aplikację. Najważniejsze dla mnie było to, żeby się dobrze wykształcić. Było ciężko, ale byliśmy razem i nigdy nie czułam się nieszczęśliwa. Wierzę głęboko, że w każdej sytuacji człowiek może cieszyć się życiem.

A co sobie pani myślała o przyszłym mieszkaniu we dworze?

Wydawało mi się to śmieszne, kompletnie nierealne. Ale nie wybijałam mężowi z głowy jego marzeń. Wtedy marzyłam o jakimkolwiek własnym kącie. Do pierwszego samodzielnego mieszkania wprowadziliśmy się na początku lat 90., miałam 37 lat. Właśnie uro-

dziło się nam drugie dziecko – syn Jędrrek, u którego stwierdzono zespół Downa.

Byłam już po aplikacji sędziowskiej i radcowskiej. Przerwałam pracę. Pani psycholog tłumaczyła mi, że nie powinnam rezygnować z własnego życia. Ale ja czułam, że podjęłam jedyną słuszną decyzję. Nie chciałam trochę pracować i trochę wychowywać.

Bardzo przeżywałam, że Jędrrek nie będzie się mógł kształcić.

Czasem słyszę: „Ale się pani poświęciła dla syna!”. Dla mnie to nie było żadne poświęcenie. Wielu osobom trudno to wytłumaczyć. Chyba dobrze udało mi się wychować Olę, bo dziś mówi, że zawsze będzie się Jędrkiem opiekować.

Kim byli pani przodkowie?

Pochodzę z drobnej podlaskiej szlachty. Dziadkowie mieszkali w okolicach Siedlec. Przypominam sobie z dzieciństwa taki wierszyk: „Laski, piaski i karaski to szlachcic podlaski”. Rodzina była patriotyczna, dziadek ze strony mamy walczył w I wojnie, w 1920 roku i w kampanii wrześniowej. Drugi dziadek przed wojną był wójtem, zarządzał 28 wsiami, udzielał porad prawnych, od premiera Sławoja-Składkowskiego dostał medal za działalność. Pamiętam, jak kiedyś powiedział, że „nie kochałby tak bardzo babci, gdyby ojczyzny bardziej nie ukochał”. Dzisiaj brzmi to tak staroświecko, że aż niemal surrealistycznie...

Dziadkowie żyli skromnie, na kolację zawsze jedli chleb, miód i mleko. W latach 60. w tamtych okolicach nie było prądu! Zapalało się lampę naftową i wieczorami czytało. Gospodarstwa były niewielkie, ale dla dziadków ziemia zawsze była ogromną wartością.

Co pani zapamiętała z przykazań babci i mamy?

Że nigdy nie wolno wyrzucić chleba do śmieci. Jak spadnie kawałek na podłogę, podniosę i pocałuję. Codzienny rodzinny obiad był bardzo ważny. Nie było mowy, żeby się spóźnić. Dorośli o drugiej schodzili z pola, dzieci kończyły zabawy. U mnie w domu też nie wolno spóźnić się na obiad, obrus zawsze jest wykrochmalony, konfitury posmażone, ogórki małosolne zrobione (*śmiech*). Kiedy jeszcze żyli dziadkowie, przynajmniej dwa razy do roku cała rodzina musiała się spotkać, zasiąść przy wspólnym stole, pobyć ze sobą, tak naprawdę porozmawiać. Babcia i mama powtarzały mi, że nie wolno kłamać, należy szanować każdego człowieka, a zwłaszcza starszego i biednego. Babcia opowiadała, że przed wojną chodzili po wsiach żebracy i trzeba było dać im nocleg, udzielić pomocy: „Dać nie to, co ci zbywa, tylko to, co masz najlepszego – tym trzeba się podzielić”. Moja mama jako mała dziewczynka bała się, że babcia wszystko porzadaje i nie będą mieli co jeść (*śmiech*). W czasie wojny babcia pomagała Żydom, przesiedlonym mieszkańcom Zamojszczyzny. I było to dla niej oczywiste.

Honor nie był pustym słowem. Myślę, że dziś wielu miałoby kłopot z jego definicją.

Czym dla pani jest honor?

To przyzwoite zachowanie w każdych okolicznościach. Bycie dobrym, uczciwym człowiekiem. Kierowanie się nie tylko kategoriami własnego interesu. Babcia często mówiła: „Pamiętaj, najważniejszy jest Bóg, honor, ojczyzna”.

Mama czytała mi wiersze Marii Konopnickiej. Do dziś znam na pamięć „Co słonko widziało”. Miałam 12 lat, kiedy sama przeczytałam „Pana Tadeusza”, „Trylogię” i „Chłopów”. Mama powiedziała, że każdy Polak powinien to znać.

Nie znudziła się pani?

Trochę przy opisach bitew w „Trylogii”. Do mojej lektury obowiązkowej należało też „Nad Niemnem”. Mama mnie zachęcała: „Tam są też babskie sprawy, nie tylko patriotyzm. Poczytasz sobie, jak pani Emilia miała globusa”.

Dziadek opowiadał mi, jak walczył na wojnach, pokazywał swoje zdjęcia w mundurze. Pamiętam taki wieczór, miałam kilka lat, chodziłam do szkoły podstawowej, siedziałam na jego kolanach, paliła się lampa naftowa i usłyszałam: „Ty już pewnie nie będziesz musiała bronić Polski, ale zawsze pamiętaj, że musisz dobrze pracować, każdemu pomagać”. Kiedy zdałam na prawo, dziadek był szczęśliwy i potwórzył: „Małgosiu, jak będziesz studiować, musisz pamiętać o ludziach i ojczyźnie”. Trochę mnie to wtedy śmieszyło, zapytałam: „Jak ja mam pamiętać o ojczyźnie na studiach?”. Odpowiedział poważnie, że mam włożyć w naukę wszystkie swoje siły, żeby nie musiał się mnie wstydzić. Że nie chodzi tylko o to, żeby skończyła prawo, ale jak najwięcej się nauczyła. Wspomniał nawet, że nie wolno ściągać. I zakończył: „Kiedyś będziesz dla Polski pracować i rób to najlepiej, jak potrafisz”. Zaczęłam z dziadkiem dyskutować. Mówiłam, że przecież Polska jest teraz komunistyczna. Ushyszałam: „Nieważne, władza przemienie, kiedyś to się musi zmienić”. Były lata 70., nie wyobrażałam sobie, że może być inny ustrój.

Jak pani poznała męża?

Byliśmy na jednym roku, ale poznaliśmy się dopiero podczas pielgrzymki do Częstochowy. Mąż też pochodzi ze szlacheckiej, patriotycznej rodziny, jej korzenie sięgają XIII wieku. Pobraliśmy się po trzecim roku studiów. Ola urodziła się w dniu wybrania Karola Wojtyły na papieża. Niestety, nie czytałam jej bajek i wierszy Konopnickiej, bardzo byłam zapracowana, przygotowywałam się do egzaminu sędziowskiego. Ola czasem prosiła: „To poczytaj mi chociaż kpk”, czyli kodeks postępowania karnego (*śmiech*). I tak zasypiała, a ja się uczyłam. Jak było mi ciężko, przypominałam sobie, że babcia miała siedmioro dzieci, dawała sobie radę i nigdy się nie skarżyła.

Kiedy tu przyjechałam, miałam wrażenie, że jestem w muzeum dawnej Rzeczypospolitej.



Na Śląsku znaleźliśmy drzwi. Miały być secesją wiedeńską, a okazały się polską. W składzie rupieci w Sieradzu stało lustro pomalowane białą olejną farbą. Okazało się, że pod farbą kryje się misterna rama ze złotymi płatkami Mazowsza i Podlasia

To przede wszystkim jest nasz dom. Lubię, gdy skrzypią podłogi. Mam wrażenie, że dom ze mną rozmawia. Lubię patrzeć, jak wśród starych mebli stoi kojec młodszego wnuka, a starszy jeździ po salonie na rowerku. Mam wrażenie, że dom się cieszy, że do Gałek znowu wróciło życie. Ktoś kiedyś pięknie powiedział, że dom staje się domem, kiedy urodzi się w nim dziecko, ktoś umrze i jest wesele.

Wiele przedmiotów z punktu widzenia potrzeb rodziny jest kompletnie niepotrzebnych. Nie chcę używać wielkich słów, ale gromadzimy je we dworze również dlatego, by z dawnej kultury Polski szlacheckiej ocalić to, co jeszcze się da. To ostatni moment.

Dowiedzieliśmy się, że na Podkarpaciu jest wieś Niedźwiady, gdzie z pokolenia na pokolenie przekazywane są tradycje kowalskie. Kupiliśmy tam stare miechy. W odrestaurowanym spichlerzu urządziliśmy skansen dawnych przedmiotów kultury materialnej, w tym narzędzi rolniczych. Mamy ich już blisko trzy tysiące. W Przemysłu udało nam się kupić tkaninę z Buczacza i pół XVIII-wiecznego pasa kontuszowego. Odziedziczyło go po matce, nie mogą łagodniej powiedzieć, dwóch Hunów. I rozcięli go na pół! Trzeba nie mieć żadnej wrażliwości, by zniszczyć coś tak pięknego!

Niedawno przyjechał do nas niewielki samochodzik - morris z '34 roku ze starymi tab-

licami rejestracyjnymi i roletą na tylnej szybie. Nabyliśmy go od pierwszego właściciela! Kilkadziesiąt lat stał w stodole i nadal jeździ. **A jak udało się zgromadzić kolekcję patriotycznej biżuterii z czasów po powstaniu styczniowym?**

Kupiliśmy dwadzieścia trzy sztuki ze zbiorów rodziny Czapskich. Są to medaliony, brosze z puklami włosów mężów, synów, ukochanych zesłanych na Sybir, metalowe bransoletki, wisiorki, krzyżyki. Niektóre bardzo nowoczesne w formie, o dziesiątki lat wyprzedzające epokę, w której powstały. Zrobione z koralików, kości słoniowej. Kobiety wkładały czarne suknie i prostą biżuterię na znak żałoby narodowej. Nie zamykamy niczego w szufladach, organizujemy we dworze koncerty, wystawy. Przyjeżdżają koledzy Jędrka ze szkoły. Cieszę się, kiedy robię obiad dla kilkudziesięciu osób i widzę, że im smakuje.

Chce pani, aby dwór był centrum życia dla okolicy. Co pani przez to rozumie?

Nawiązałam współpracę z pobliską szkołą podstawową. Przekazaliśmy jej dzieła Mickiewicza, na koniec roku ufundowaliśmy nagrody dla najlepszych uczniów. Wcześniej zorganizowaliśmy dla dzieci z Gałek wycieczkę do Warszawy. Niektóre po raz pierwszy widziały stolicę, mimo że to tylko 75 kilometrów. Obserwuję, jak pięknie odnoszą się do mojego

Jędrka. Dla nich on jest zwykłym dzieckiem. Mówię: „Zobaczcie, Jędrak nie ma szansy, żeby się uczyć, a wy ją macie, wykorzystajcie to”.

Każdego roku między świętami Bożego Narodzenia a Nowym Rokiem organizujemy dla okolicznych dzieci kolędowanie. Wspólnie śpiewamy, jest konkurs biblijny z nagrodami, dla wszystkich drobne prezenty, przyjęcie w salonie. O wielkich Polakach opowiada Barbara Wachowicz. Dzieci przychodzą z rodzicami, atmosfera naprawdę jest rodzinna. Często myślę, żeby w przyszłości stworzyć w Gałkach ośrodek dla osób z zespołem Downa. Jedyń minus to oddalenie od miasta. W okolicy nie ma kina, teatru, jest daleko do lekarza.

Jędrak jest wspaniałym, wrażliwym, serdecznym człowiekiem. O Gałkach mówię, że to najpiękniejsze miejsce na ziemi. Wiem, że nigdy nie będzie naukowcem, lekarzem, ale może będzie miał ośrodek imienia Jędrzeja Gujskiego...

Dlaczego to takie ważne, żeby się dzielić?

Tak zostałam wychowana. Dostałam od losu więcej niż inni, podzielenie się to mój obowiązek. Myślę, że dobro do nas wraca. I że jak ktoś doświadczy dobra, da je innym. Nie chodzi mi tylko o rzeczy materialne, czasem wystarczy rozmowa, współczucie, uśmiech.

Ostatnio jechałam tramwajem i zobaczyłam, że dwie panie w moim wieku strasznie się kłócą. Podeszłam i mówię: „Dziewczyny, taka dziś piękna pogoda, popatrzcie za okno i przestańcie się kłócić”. Roześmiały się, poskutkowało. ■